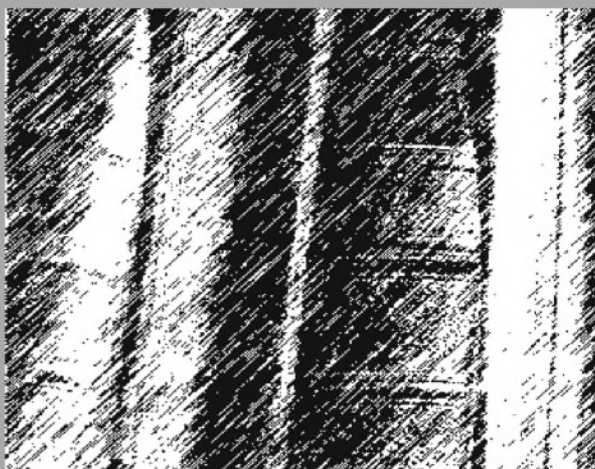




JADWIGA MIZIŃSKA

Młodość a wartość starości*

Youth and the value of old age

Abstract: The consumerist civilisation propagates the cult of youth. On the opposite pole there is a depreciation of old age. This disturbs the natural harmony between the four “seasons of human life”: childhood, adolescence, adulthood and old age and, moreover, devaluates the role of life experience which is acquired later in life. The article aims at providing arguments for the sake of the thesis that both young and old people need one another. Since old age has a particular value which is the wisdom resulting from personal experience and from the distance towards transitory fascinations, fashions, trends and thinking styles.

Key words: old age, breeding to old age.

* Ewie i Henrykowi Czyżewskim z podziękowaniem za „rozmowy o życiu”.

Parę lat temu siedziałam ze znajomą w studenckiej kawiarni „Chatka Żaka” przy herbacie. Choć byłam zajęta rozmową z Kornelią, kątem oka zauważyłam przy sąsiednim stoliku trzech dość hałaśliwych młodzieńców, którzy też nam się przyglądali i coś komentowali. W pewnym momencie jeden z nich, najprzystojniejszy, wstał od swojego i podszedł do nas. – Czy można się przysiąść do pań – zapytał uprzejmie. – Pan się chyba pomylił, obok siedzą piękne młode dziewczęta – odrzekłam, przekonana, że chodzi o jakąś złośliwą zaczepkę. Wszak razem z Kornelią miałyśmy w sumie ponad sto lat. – Ależ nam chodzi właśnie o panie, dlatego że jesteście od nich starsze – zapewnił Emil. Okazało się, że wraz z Januszem i Rafałem są przyjaciółmi i studentami prawa. W rozmowie wszyscy przekonywali nas, że tego, czego poszukują, to kontakt ze starszymi, doświadczonymi przez życie osobami, rówieśnicy ich nudzą. Od tego dnia rozpoczęła się między nami bliska znajomość, a z czasem przyjaźń. Uczestniczyli w moich seminariach magisterskich i doktorskich, choć nic ich do tego nie obligowało. Pragnęli bowiem rozmawiać, rozmawiać, rozmawiać, głównie o swojej trudnej młodości. Kiedyś, gdy rozmowa zeszyła na „domy spokojnej starości”, jeden z nich rzekł: a nam się marzą „domy niespokojnej młodości”.

Wszyscy trzej dawno już ukończyli studia, pożenili się (zapraszając nas na swoje wesela), pracują w swoim zawodzie. Rozjechali się po różnych miastach. Sami się już trochę postarzel. Może mają własne dzieci.

Ilekoć słyszę lub czytam o konflikcie pokoleń, lekceważeniu dorosłych przez młodzież i dzieci, przypominam sobie to zdarzenie. Jako dowód tego, że młodość potrzebuje starości, niedojrzałość – dojrzałości, a „niewinność – doświadczenia”, jak by powiedział William Blake. Problem jedynie w tym, że trzeba zdobyć się na odwagę, by przesiąść się od jednego do drugiego stolika...

Pokolenie Jana Pawła II?

Jednym z najbardziej zaskakujących fenomenów przełomu XX i XXI wieku pozostaje bez wątpienia zbliżenie starości z młodością, jakie dokonało się za sprawą polskiego Papieża Jana Pawła II. Było ono tak nieoczekiwane i zarazem tak spektakularne, że na określenie ówczesnych dwudziesto-, trzydziestolatków pojawiło się pojęcie „generacja Jana Pawła II”. Niezależnie od tego, czy utrzyma się ono na dłuższą metę, sam fakt powszechnego wybuchu entuzjazmu i miłości młodych ludzi do Papieża, wówczas już nie po prostu starego, ale wręcz sędziwego, przynię-

cionego chorobami, złamanego wiekiem i fizycznym cierpieniem, zasługuje na wnikliwą uwagę. Powinien stać się przedmiotem namysłu filozofów kultury, socjologów, politologów, ale przede wszystkim – pedagogów.

Być może bowiem zwiastuje to kolejną odmianę w relacjach między starością a młodością, czyli – w zakresie sposobów postrzegania i traktowania ludzi starych przez młodzież. Nie wdając się w długie historyczne dzieje tego problemu, pragnę skoncentrować się wyłącznie na współczesności, która i pod tym względem jawi się jako czas kryzysowy. Gdy mowa o kryzysie, wypadałoby odnieść go do jakiejś, choćby wyobrażonej, normy. Za taką normę przyjmuję fakt cykliczności ludzkiego życia, które ma cztery fazy: dzieciństwa, młodości, dojrzałości i starości. Narzuca się analogia z czterema porami roku, następującymi nieodmiennie po sobie. Problem, który mnie najbardziej zajmuje, to pytanie, czy w dzisiejszych czasach mamy do czynienia z harmonią czy też – z dysharmonią „czterech pór” ludzkiej egzystencji. W szczególności zaś, jak młodzi ludzie „w kwiecie życia” postrzegają pokolenie swych ojców, a zwłaszcza dziadków i jak się do niego odnoszą. Ogólnie: czy współczesna masowa kultura w społeczeństwach konsumpcyjnych kultywuje różnice między dorosłością a dojrzałością, i czy tę ostatnią – dojrzałość – uznaje za wartość samą w sobie.

Kult młodości – eksplozja niedojrzałości

Witold Gombrowicz swoją twórczością – zarówno powieściami, jak i dziennikami – wprowadził do powszechnego obiegu kategorię *niedojrzałości*. W jego zamierzeniu miała ona być kontrpropozycją dla zbytnej sztywności i konwencjonalności formy, atrybutu dorosłości. Owa forma, związana z obyczajnością i społecznym konwenansem, miała – jego zdaniem – przynosić ogromne szkody dla autentyczności, wtłaczanych w nią w procesie socjalizacji i edukacji, młodych osób, wiodąc ich rezultacie do *upupienia*. Zgroza, jaką budziło ono u autora *Ferdydurke* wynikała stąd, iż *pupa*, jako przeciwieństwo *twary*, wygląda u wszystkich tak samo. Oglądana naga i od zewnątrz jest nierozpoznawalna, bo jednakowo gładka i nic nie mówiąca o swoim właścicielu. Gombrowiczowskie *upupienie* było równoznaczne z degradacją ludzi, którzy zamiast indywidualnych i niepowtarzalnych własnych twarzy posługiwali się sztaampową, jednakową dla wszystkich, bezosobową gładką maską.

Walcząc z tak wypaczonym sensem dojrzałości, który sprowadzał się do ujednolicenia ludzi przez wprasowywanie ich w odpowiednie formy, głosił Gombrowicz zarazem apoteozę niedojrzałości, równoznacznej, w jego mniemaniu, ze spontanicznością i autentyzmem, czyli brakiem zastęgnięcia w jakąś narzuconą z zewnątrz, nie swoją rolę i maskę.

Idea ta została, niestety!, wcielona w życie, choć już nie na oczach pomysłodawcy, i w postaci, której nie mógł się on spodziewać. Ostatnie bowiem dziesięciolecie XX wieku okazały się erupcją młodości czy raczej – młodzieżowości w wersji apoteozy owej niedojrzałości. Datuje się to, na dobrą sprawę, od pamiętnego 1968 roku. Rewolta, jaka wówczas ogarnęła Zachód Europy oraz Stany Zjednoczone, miała charakter buntu pokoleniowego. Młodzież, w tym zwłaszcza studenci, z zapalem podjęła kontestację przeciwko „brudnej wojnie wietnamskiej”, ale także – przy okazji – przeciwko wszelkim instytucjom stworzonym i skompromitowanym przez ich sytych, lecz bezideowych, mieszczańskich rodziców. Słynne hasło pokolenia „dzieci kwiatów” „make love, not war” brzmiało poetycko i pięknie, w skutkach wszakże okazało się niszczycielskie dla nich samych. Hipisi bowiem, nie będąc w stanie unicestwić odpychającej rzeczywistości (wszak odrzucali przemoc fizyczną), wybrali drogę eskapizmu – ucieczki od niej w narkotyczne omamy i iluzje. Narkotyki, dostarczając młodym zaledwie chwilowych „odlotów”, jęły jednak wyniszczać ich psychicznie i fizycznie. Nawiasem mówiąc, żargonowe słowo „odlot”, służące określeniu euforycznych stanów po zażyciu środków odurzających, doskonale oddaje poczucie derealizacji obiektywnego świata, wrażenie, że istnieje on wraz ze swymi prawami w sposób jak gdyby nieobowiązujący dla tych, których owe prawa uwierały. „Odlatując” w sferę wymagowanych lepszych i piękniejszych światów, młodzi ludzie ani myśleli o „lądowaniu”. Tymczasem było ono nieuchronne, o czym mieli się wkrótce z zaskoczeniem i rozpaczą przekonać.

Zamiast wyzwolenia, uduchowienia i nieustającej euforii, dragi i alkohol oraz „wyzwolony” z wszelkich hamulców seks doprowadzały swoich użytkowników do degrengolady, a w wielu wypadkach także do przedwczesnej śmierci. Tragizm zatracenia się w owej próbie kontestacji przeciwko wszelkiej formie uosabiają biografie takich idoli tej generacji, jak James Dean, Marylin Monroe, Janis Joplin, Jimmi Hendrix. Były to wszystko życiorysy krótkie, przerwane – nawet nie w połowie – gwałtowną i nagłą śmiercią, sprowokowaną gorączkowym pragnieniem intensywnych i nazbyt skumulowanych doznań, w tym także pragnieniem popularności i sławy. Ich bohaterowie, pchani przemożnym impulsem Erosa, w istocie popadli w sidła Tanatosa. Marzenie o wiecznej pięknej i czystej młodości (rozumianej jako protest przeciwko „brzydkiej” doro-

słości) – stare jak ludzkość – w tym pokoleniu ogarnęło nie jednostki, ale miliony. Wstręt i odraza do zakłamannej generacji ojców, która doprowadziła do „brudnej” wietnamskiej wojny, oraz wstyd za nią kazał beatnikom na różne sposoby próbować zakonserwować własną „niewinną” młodość. Na dłuższą metę okazywało się to albo straceńcze (o czym przed chwilą była mowa), albo groteskowe. Owa groteskowość wcieliła się w dziwaczny i przeczący naturze życia bunt przeciw starości, a wraz z nią – przeciw nieuchronnej przecież śmierci.

Do dziś w wysoko cywilizowanych krajach Zachodu pokłosiem rewolucji obyczajowej i seksualnej pozostał kult młodości. Prócz ówczesnej zrewoltowanej młodzieży ogarnął on także dorosłych. Jego karykaturalnym obrazem pozostaje podstarzały, łysiejący, brzuchaty mężczyzna, wbity w za wąskie dzinsy.

Mimo dramatycznych i drastycznych „ubocznych skutków” ówczesnej rewolucji obyczajowej i towarzyszącej jej rewolucji seksualnej, widocznych także dla jej postarzałych dziś bohaterów, efektem wyzwolenia z formy stał się osobliwy społeczny obowiązek bycia wiecznie młodym. Ponieważ jednak przemijania rzeczywistej młodości nie daje się powstrzymać żadnymi sposobami (prawa przyrody, w tym prawa biologii, wciąż pozostają poza ludzką kontrolą), przeto w owej kulturowej modzie idzie nie tyle o zatrzymanie młodości, ile o kultywowanie młodości, czyli samego młodzieńczego wyglądu.

Ów kult młodzieńczości od swych wyznawców wymaga niezliczonych zabiegów mających powstrzymać naturalny proces starzenia się ciała oraz obniżania wydolności seksualnej. Prowadzi to do wielorakich skutków. Z jednej strony – do troski o poprawę jakości życia, zdrowia i urody, z drugiej – do swego rodzaju fałszowania „prawdy ciała”. Obawa przed wyglądem na tyle lat, ile się ich ma w rzeczywistości, sprawia, że osoby owładnięte obsesją młodzieńczego wyglądu tracą mnóstwo czasu, wysiłku (i pieniędzy!), żeby własne ciało udręczać nie mniej niż średniowieczni asceci. Różnica między ascetami klasycznymi a współczesnymi polega na tym, że o ile pierwsi poświęcali komfort cielesny dla zbawienia duszy, o tyle dzisiejsi męczennicy diet odchudzających, odmładzających kuracji, joggingu, siłowni itp. czynią to wyłącznie dla względów rzekomo estetycznych (bo nawet nie zdrowotnych). Jest to – chciałoby się powiedzieć – pełne zwycięstwo formy nad treścią. Troska o „wizerunek”, „image”, „styl” pochłania bowiem tyle czasu, że już go nie wystarcza, by zająć się tym, co ma być w tym modnym opakowaniu zawarte. W dodatku nadmierne zainteresowanie ciałem, katowanie go wyrafinowanymi zabiegami doprowadza nierzadko do rozchwiania naturalnej harmonii organizmu, co w efekcie prowadzi do chorobliwego wychudzenia – anoreksji, bądź równie chorobliwego otluszczenia – bulimii.

Gombrowicz byłby zapewne mocno zakłopotany, widząc współczesne wcielenie swojego marzenia: oto, wyzwalając się z jednej sztywnej, zdrewniałej formy dojrzałości, dawni buntownicy przeciwko zbyt sztywnemu gorsetowi dorosłości stali się na powrót niewolnikami innej formy – niedojrzałości mianowicie.

Tak oto kult młodzieńczości sprawia, że autentycznie młodzi (aktualnie) ludzie nie umieją cieszyć się przywilejami swojego wieku, bo już w dzieciństwie zostają wciągnięci w nieustającą pogoń za idealnym (narzucanym przez migotliwie zmieniające się trendy mody) wyglądem. Nikt prawie nie wygląda tak, jak naprawdę wygląda, lecz dopiero wygląda – wyglądu „właściwego”. Okazuje się więc, że nawet rzeczywista młodość sama przez się nie stanowi tu celebrowanej wartości, a dopiero jej wersja wyimaginowana i narzucona przez anonimowych dyktatorów mody.

Pogoń za efektowną (jakoby gwarantującą sukces), młodzieńczą oraz modną powierzchownością prowadzi do abnegacji w sprawach wcześniej uznawanych za ważne czy wprost istotne. W szczególności – do lekceważenia dojrzałości utożsamianej niegdyś z rozważą i odpowiedzialnością. Pośrednio zaś – do zignorowania mądrości. Tej mądrości, która może wypływać jedynie z życiowego doświadczenia. W pewnym sensie jest to konsekwentne: skoro nie chce się przeżywać po kolei wszystkich poszczególnych stadiów życiowego cyklu: dzieciństwa, młodości, dorosłości i starości, sztuczne wydłużanie samej młodości okrada nas ze specyfiki tych etapów, jakie ją poprzedzają, oraz tych, jakie po niej następują.

Autentyczna młodzież (o której zresztą mówi się pobłażliwie „małolaty”) czuje się w tej maskaradzie zupełnie zagubiona. Obcując z własnymi „młodzieżowymi” rodzicami oraz takimi samymi, wystylizowanymi na młodzieńczość, nauczycielami, katechetami i innymi „wychowawcami”, nie wie, czy ma ich traktować z szacunkiem, należnym ich rzeczywistemu wiekowi, czy też ze swobodą, jaka jest właściwa pośród „partnerów”. Kult bowiem młodzieńczości, uprawiany zarówno przez samą młodzież, jak i jej rodziców, podważył wszelkie dystanse – wiekowe, ale też społeczne i obyczajowe. Wyraża się to między innymi w zarzuceniu słownych form wzajemnego obcowania. Zamiast formuły „ojcze”, „matko” utarło się – za aprobatą rodziców – zwracanie się do nich tak, jak do rówieśników – per „ty”. Owa gramatyczna druga osoba ma sugerować, że między dwoma pokoleniami: rodziców i dzieci, w istocie nie ma ani przedziału wiekowego, ani różnicy doświadczeń. Implikowane przez formę „ty” partnerstwo, czyli równość poziomemu rozwojowi emocjonalnego, intelektualnego, społecznego, w gruncie rzeczy zakłamuje rzeczywistość. Osoby czterdziestoletnie czy nawet trzydziestoletnie mają inne potrzeby, zainteresowania, inny po-

ziom rozwoju poszczególnych funkcji cielesnych i psychicznych niżli ich kilkunastoletnie dzieci. Rezygnując ze słownych zwrotów, które powstały po to, by wyrażać zarazem dystans i poważanie, mimowolnie pozbywają się także prawa do owego szacunku. W ten sposób, niejako za milczącym porozumieniem stron, i dzieci, i rodzice, zgodnie odrzucają przykazanie „czcij ojca i matkę swoją”. Potem dopiero, w razie konfliktu, rodzice próbują bezskutecznie egzekwować swoje prawa, wcześniej sprzedane już nie za „miskę soczewicy”, ale za miraż młodości. Wskutek tego zamęt w relacjach międzypokoleniowych jeszcze się pogłębia.

Maskarada wiekowa obejmuje zresztą nie tylko dwa sąsiadujące z sobą pokolenia: rodziców i dzieci. Również dziadkowie i babcie coraz częściej wyrzekają się tradycyjnej wobec wnuków roli. Nie chcą się nimi zajmować, poświęcać im więcej czasu ze względu na samorealizację siebie – przeżywających „drugą młodość” po wyzwoleniu z obowiązków w stosunku do już dorosłych własnych dzieci.

Zyskując wolność spełniania własnych pragnień (a często zachcianek), pokolenie rodziców rodziców traci szanse przypisane ich wiekowi i statusowi. W kulturach tradycyjnych dziadkowie, okazując wnukom łagodną, cierpliwą miłość, wyzbytą charakterystycznej dla rodziców kategoryczności i nerwowości, zyskiwali w zamian przywiązanie i czułość dzieci swych dzieci. Niekiedy zresztą również opiekę w razie chorób i niedołężności. Obecnie, goniąc – jak wszyscy – za wykorzystaniem „ostatniej szansy” użycia, wyzbywają się tego, co w sposób naturalny przysługuje ich wiekowi.

Uogólniając: współcześni dorośli zdają się gremialnie łamać jedno ze wskazań „dezyderatu”, które brzmi: „przyjmij spokojnie, co ci lata doradzają, z wdziękiem wyzbywaj się praw młodości”.

Niemądry, bo przeciwny naturze życia, kult młodości jest z góry przegranym rodzajem hazardu. Nie dotrzymuje bowiem obietnicy zachowania młodości autentycznej, okrada natomiast z głębokiego i pełnego przeżywania pozostałych cykli życiowych: dorosłości i starości. Ponad wszystko jednak zakłóca naturalny i normalny tryb następstwa pokoleń. Dorastające dzieci i wnuki nie mają czego dziedziczyć (w sensie duchowej spuścizny) po swoich rodzicach i dziadkach. Ci bowiem, zatracając się w konserwacji pozorów młodości, nie mają ani czasu, ani uwagi niezbędnej po to, by zajmować się gromadzeniem autentycznych, innych wszak dla każdego, życiowych doświadczeń, których ekstraktem jawi się życiowa mądrość.

Charakterystyczne dla naszej epoki jest ponadto wypieranie się niektórych własnych, autentycznych przeżyć i doświadczeń. Zwłaszcza w naszym kręgu Europy Środkowo-Wschodniej, w związku z głębokimi i traumatycznymi przekształceniami ustrojowymi, ludzie, których część

biografii przypadła na odrzucony reżim, z obawy przed „lustracją” i ideologicznym potępieniem fałszują „niebezpieczne” fragmenty życiorysów. Oznacza to dodatkowy silny motyw do czynionego na własną rękę „korygowania” i zamykania swej tożsamości. Towarzyszy temu, jakby dla równowagi, trend „powrotu do korzeni”, fascynacja swoim pochodzeniem i tradycją, docieraniem do historii przodków. Byłoby to chwalebne, gdyby jednocześnie nie przerywać i nie fałszować „tradycji” własnego życia, dziejącej się aktualnie biografii, przez wykreślanie jej wstydlivych lub niekorzystnych – z punktu widzenia „politycznej poprawności” i kariery – momentów.

Freud powiada, że dziecko jest ojcem dorosłego. Ale, jakby nie było, dla pojawienia się dziecka niezbędni są rzeczywisci ojcowie. Faktu rodzicielstwa nie da się w żaden sposób pominąć czy wyeliminować. Nie tylko jako zjawiska czysto biologicznego, ale też – społecznego i kulturowego. Rozważmy przeto, jak aspiracje dorosłych do zachowania m ł o d z i e ż o w o ś c i rzutują na relację dziecko – rodzice.

Istota rodzicielstwa

Trend powszechnej j u w e n a l i z a c j i mógłby wydawać się czymś pozytywnym (jeśli przyjąć, że młodość jako taka jest niekwestionowaną wartością), gdyby nie wspomniany na wstępie fakt „zakochania się” prawdziwej młodzieży w Papieżu, który nie tylko nie ukrywał, ale wprost eksponował objawy i ułomności swojej starości. Bezsprzecznie w tej ekspozycji nie chodziło wyłącznie o zewnętrzne, widziane gołym okiem atrybuty sędziwego wieku. A wobec tego – o co naprawdę?

Szczególnie głęboki ból i żal, poczucie wielkiej straty bezpośrednio po śmierci Jana Pawła, w której dzięki telewizji wszyscy mogli poniekąd brać udział, świadczą, że rozpaczający młodzi ludzie poczuli, iż odchodzący Papież ofiarował im coś niesłychanie istotnego. Wolno się domyślać, że tym czymś była najzwyczajniejsza i najbardziej tradycyjna miłość – miłość ojcowska, miłość rodzicielska, której brak od swoich biologicznych rodziców dotkliwie odczuwali, niezupełnie z tego zdając sobie wcześniej sprawę.

Wskutek zamieszania spowodowanego kryzysem s z t u c z n e j j u w e n a l i z a c j i zakłóceniu uległo także to najzupełniej naturalne, wręcz – wydawać by się mogło – odruchowe uczucie, jakie łączy rodziców (tych, którzy płodzą i rodzą) oraz ich dzieci (tych, którzy zostali spłodzeni i zrodzeni). Relacja ta zawsze była dramatyczna: posiadanie potomstwa

wymagało bowiem od obojga rodziców rezygnacji z wielu wcześniejszych swobód: wolnego czasu, rozrywek i zabawy – ogólnie: beztroski – na rzecz obowiązków pielęgnacyjnych i edukacyjnych. Rodzicielstwo nie jest wszak niczym innym, jak obowiązkiem względem swych dzieci, jest z nim wręcz tożsame z tego oczywistego powodu, że małe dziecko jest bezbronne i bezradne. Jako taka „niegotowa” istota dziecko dosłownie nie potrafi samodzielnie bytować. By egzystować, wymaga wokół siebie osób dorosłych, zaradnych, fizycznie i psychicznie sprawnych, którzy by – poniekąd za dziecko i w imieniu dziecka – wykonywali wszelakie zabiegi służące podtrzymywaniu jego życia i sprzyjające jego rozwojowi. W przeciwnym wypadku, pozbawione takiego wsparcia, małe dziecko ginie, dosłownie umiera.

Relacja rodzicielska zatem to nie tylko pokrewieństwo, objawiające się dziedziczeniem cech genetycznych – to zaledwie jej warunek konieczny. Nad nim dopiero nadbudowuje się relacja uczuciowa: szczególnego rodzaju miłość rodzicielska, której charakterystycznym odbiciem u dziecka staje się bezwzględna ufność do matki i ojca.

Sztuka wszech czasów opiewa i sławi ten rodzaj rodzicielskich uczuć czy wręcz postaw, którym przysługują nawet osobne nazwy: macierzyństwo oraz ojcostwo. Wspólne ich rysy to: oddanie, troskliwość, czułość, nieograniczona cierpliwość, odpowiedzialność za teraźniejszość i przyszłość dziecka. Gwarantują one to, co absolutnie dziecku niezbędne – opiekę. Nierzadko też do liczby rodzicielskich cnót dochodzi poświęcenie, czyli rezygnacja z bieżącego interesu rodziców na rzecz aktualnego czy też potencjalnego dobra dziecka.

Słowo „poświęcenie” ma dwa odcienie znaczeniowe: z jednej strony to, jak wspomniałam, rezygnacja, a więc uszczerbek na dobru rodzica, z drugiej wszakże – widać w tym pojęciu ślad związku ze świętością. Poświęcić coś bowiem, to także uznać, że istnieje coś większego od chwilowego wyrzeczenia, a owo coś przynależy do sfery wyższej, sakralnej. Poświęcenie w tym znaczeniu to ofiarowanie, akt podejmowany w wolności a sprawiający, że ofiarujący czuje się zarazem obdarowany przez tego, kto ową ofiarę przyjmuje. (Wszak Kain zabił swego brata Abła z zazdrości, że jego własnej całopalnej ofiary Bóg Ojciec nie przyjął).

Współczesna cywilizacja konsumpcyjna termin „poświęcenie” odarła zupełnie z drugiego ze wspomnianych znaczeń. Propagując i wtłaczając massmedialnymi kanałami, jako wszechobowiązujący w stosunkach między ludźmi, model rynkowy i handlowy, wywarła też destrukcyjny wpływ na rodzicielstwo. Potraktowała je mianowicie jako rodzaj transakcji, wzajemnej wymiany usług. Jak i wszystkie inne „transakcje” ma się ono przede wszystkim opłacać. Oznacza to, że rodzice przestają traktować własne dzieci jako przedłużenie swego bytu, siebie

samych, mających w przyszłości uzyskać autonomię, ale patrzą na nie jako na „inwestycję”. Kalkulacja w tym zakresie rozpoczyna się już na etapie planowania rodzicielstwa. Osiągnięciem „świadomego macierzyństwa” (i „świadomego ojcostwa”) jest przeprowadzanie z wieloletnim wyprzedzeniem „planów rozrodczych”. Projektuje się „priorytety”: najpierw samodzielne mieszkanie i praca, następnie dorabianie się coraz bardziej komfortowych warunków, wykorzystanie młodszej energii na rozrywki, podróże, podnoszenie kwalifikacji zawodowych i zdobywanie coraz wyższych stopni kariery, a wreszcie, w obawie przed umknięciem odpowiedniego dla rodzenia potomstwa momentu – planowanie ciąży, najkorzystniejszego miejsca porodu, a nawet – pozycji kobiety podczas porodu.

W procesie rodzicielskim, jak widać, znalazła się maksymalna liczba elementów kalkulacji, praktycznych, zwłaszcza ekonomicznych obliczeń. Stanisław Jerzy Lec podawał następującą „definicję”: „Dziecko – uboczny skutek miłości”. Była ona aktualna w czasach przedkonsumpcyjnych. Choć z intencji żartobliwe, określenie to wskazuje, że fundamentalnym powodem płodzenia potomstwa była m i ł o ś ć, miłość dwojga ludzi, z której poczynął się spontanicznie trzeci człowiek.

W wieku powszechnej kalkulacji i symulacji zamiast spontanicznego uczucia pojawił się zdrowy rozsądek. Owszem, jest on na miejscu w sprawach codziennych, w obcowaniu z już istniejącą rzeczywistością, zwłaszcza jej bytowym, materialnym aspektem. Jednak jego dominacja nad płodnością, rodzeniem dzieci (nazywanym coraz częściej naukowym terminem „prokreacja”) przynosi dwuznaczne następstwa. Podnosząc komfort samego procesu rodzenia (por. akcja „rodzić po ludzku”), zarazem odziera się ten akt z jego tajemniczości i dramatyzmu. Przyszłe młode matki są specjalnie trenowane, żeby ów niezwykle, unikalny ból porodu zminimalizować, a ojcowie nakłaniani do uczestniczenia w ich przeżyciach. Ten humanitarny, na pozór, trend stanowi zaledwie początek dalszej uporczywej w konsumeryzmie akcji „łagodzenia ciężaru” relacji rodzicielskiej. Idzie w niej, w gruncie rzeczy, o minimalizowanie wysiłku rodziców, o uwalnianie ich, na ile się da, z żywego i do głębi zaangażowanego uczestniczenia w trudzie wydawania na świat, a potem wzrastania dziecka. W kulturze tradycyjnej matka i ojciec byli niezastąpieni, dziś, dzięki postępowi ekonomicznemu i społecznemu, ich role przejmują różne instytucje: żłobek, przedszkole, szkoły, zakłady wychowawcze, przychodnie psychologiczne, poradnie zawodowe etc. Zauważmy, że wychowanie w ogólności wykazuje obecnie tendencje do wąskiej specjalizacji. Rodzicom (zwłaszcza w mieście) pozostaje zapewnić dziecku miejsce do snu i... pieśniadze na rozrywki, bo nawet je się (nazywa się to „spożywaniem posiłków”) najczęściej poza domem. Wszystko – poza owym miejscem do

spędzania nocy – można wykupić. Co bogatsze rodziny zatrudniają ponadto opiekunki do dzieci, szoferów odwożących je i przywożących ze szkoły, korepetytorów, nauczycieli do nauczania dodatkowych umiejętności, jak gra na instrumencie, jazda konna, taniec, nauka języków obcych itp. Szkoła z kolei zatrudnia, oprócz nauczycieli, coraz to więcej „służb pomocniczych”: pedagogów, psychologów, ochroniarzy itp.

W wolnym od nawału „edukacyjnych” zajęć czasie dziecko zasiada przed komputerem i buszuje w internecie, poszukując, z braku domowych, innych, często przypadkowych i niebezpiecznych kontaktów.

Idealem „współczesnego” rodzica jest tedy obstawienie dziecka ze wszystkich stron obcymi „profesjonalistami” oraz urządzeniami, przedmiotami i modnymi gadżetami. Zaspokojenie wszelkich tego typu modnych, ale sztucznych potrzeb oraz zachcianek i kaprysów dzieci daje rodzicom poczucie spełnienia obowiązku i naddążania za rosnącymi standardami materialnymi.

Jak to się jednak dzieje, że tak „zadbane” młode pokolenie czuje się nieszczęśliwe, co przejawia się w doprawdy niesamowitym zjawisku nasilania się wzajemnej przemocy nawet wśród najmniejszych dzieci? Wszegobecna w szkole i poza szkołą agresja znajduje – u słabszych psychicznie młodych ludzi – *pendant* w autoagresji. Narasta wstrząsające zjawisko już nie tylko młodzieżowych, ale i dziecięcych samobójstw. Nie mówiąc już o fenomenie samozniszczenia przez narkotyki, alkoholizm, przedwczesne rozpoczynanie życia seksualnego i z tym związane ekscesy. W jakiejś mierze to odruch ucieczki od przemocy – zarówno fizycznej, jak i psychicznej – bardzo częstej w rodzinach. Jej literacki obraz, zawarty w powieści Wojciecha Kuczoka pt. *Gnój*, okazał się tak prawdziwy, że owa książka, pod tak drastycznym tytułem (wziętym ze słownika ojca, który w ten właśnie sposób zwracał się do syna), zyskała opinię rzeczywistej diagnozy stanu dzisiejszej polskiej rodziny i czytelnicy nagrodzili ją w konkursie na najlepszą powieść 2004 roku.

Na wszystkie wymienione okropności nakłada się zjawisko seksualnego molestowania dzieci i młodzieży przez dorosłych, w tym własnych ojców. Ono właśnie najdobitniej ukazuje, jak daleko posunął się proces patologizacji naturalnych więzi między dorosłymi i dziećmi. Zamiast strzec je przed nadużyciami ze strony obcych dewiantów, ojcowie sami odgrywają ich nikczemną i okrutną rolę.

Zastanawiając się nad mechanizmem wspomnianego z y r o d n i e n i a, można sformułować następującą zależność: im większy komfort materialny, tym większy dyskomfort psychiczny. Albo inaczej: im więcej czasu pochłania rodzicom zdobywanie środków na zapewnienie potomstwu narzuconego przez cywilizację konsumpcyjną standardu materialnego, tym

mniej zostaje go na osobiste, wyzbyte pośpiechu i nerwowości, spokojne i uważne kontakty z własnymi dziećmi. Na ich rozluźnienie wpływa ponadto stała i głośna obecność w każdym domu telewizora. Sprzęt ten narzuca wszystkim nie tylko modne style bycia, ale też, dopuszczony do głosu (nawet przy świątecznym stole) – oducza ludzi najzwyczajszej rozmowy. Anonimowi spikerzy czy bohaterowie filmów mają dzieciom o wiele więcej do powiedzenia niż domownicy. Niezależnie zresztą, jakie treści z ich ust słuchacze – szczególnie młodzi, a więc bezkrytyczni – chłoną.

Poszukując źródła tej klęski wychowawczej, której dramatycznym wyrazem jest wybuch agresywności wśród młodzieży i dzieci, rodzice i szkoła przerzucają wzajemnie na siebie odpowiedzialność. Na tym się też wyczerpują owe „poszukiwania”. Widać zatem, że obie strony zupełnie nie zdają sobie sprawy z istoty odpowiedzialności pedagogicznej.

W odróżnieniu od ujęcia czysto prawniczego, odpowiedzialność pedagogiczna zasadzać się wszak powinna na trosce o autentyczne dobro dziecka. Takim zaś dobrem jest zapewnienie mu poczucia bezpieczeństwa, wzbudzenie jego zaufania do ludzi (zwłaszcza najbliższych), do świata i do losu. Nie ma innej drogi do tego celu aniżeli obdarzenie dziecka bezwarunkową miłością już od samego początku jego życia.

Jesteśmy więc przede wszystkim odpowiedzialni za miłość do dzieci lub jej brak. Nawet najlepsze „środki edukacyjne”, takie jak komputery, internet, zapewniające błyskawiczny dostęp do informacji, nie mogą zaspokoić naturalnej i przemożnej dziecięcej potrzeby osobistego obcowania z dorosłym. Wyłącznie bowiem dzięki fizycznej obecności i bliskości, dzięki czułemu spojrzeniu i dotykowi może się prawidłowo kształtować poczucie bezpieczeństwa, a także – fundamentalne poczucie rzeczywistości swojej osoby.

Pisze o tym pięknie Roberto Salvadori w swych wspomnieniach: „To nie my pamiętamy o dzieciństwie. To ono pamięta o nas. Ani przez chwilę nie spuszcza nas z oczu. Przez całe życie. Dzieciństwo to spojrzenie z dołu, które nosimy w sobie. Dzieciństwo to stan, gdy każda rzecz jest nieskończona i wieczna, a każdy człowiek wieczny i nieśmiertelny. Dzieciństwo to życie zależne głęboko i całkowicie od innych, ale zarazem sekret całkowitej niezależności. Spojrzenie dziecka jest niewinne? naiwne?

A przecież jest to niepocieszone spojrzenie kogoś, kto wszystko rozumie – kto zrozumiał (poza samym sobą).

»Dzieci patrzą na nas« już w 1942 roku, na rok przed moim urodzeniem, dowiedzieliśmy się dzięki De Sice i Zavattiniemu. Dzieciństwo jest tym, co nam się przydarzy. Nieodwracalny i ponadczasowy los dzieciństwa jest dzieciństwem losu.

Który – bezszelestnie – ściga nas i chwyta. Śmierć dzieciństwa jest dzieciństwem śmierci. Tej chwili, która wreszcie nada pełny sens życiu.

I dzieciństwu ścigającemu nas przez całe życie”¹.

Odmawianie dzieciom owych – nic przecież niekosztujących – dobrodziejstw wypływających z miłości doprowadza je do głodu uczuciowego. Nie mogąc mieć w tym wieku świadomości jego przyczyn, rekompensują go sobie wzmożonym apetytem na różne emocjonalne ersatze. Tak rodzi się i utrwała postawa roszczeniowa wobec rodziców, którzy – równie bezmyślnie – godzą się i przyjmują taki układ. Brak skupionej uwagi, troskliwości i czułości próbują zrekompensować drogiem sprzętem, modnymi strojami albo zgola pieniędzmi.

W ten sposób zamiast miłości – stosunkiem między rodzicami a dziećmi zaczyna rządzić swoisty biznes. Obie strony wymagają od siebie jedynie świadczeń: w zamian za „kasę” jej „dawcy” żądają od „biorców” dobrych wyników w szkole, a dla siebie „świętego spokoju”. Generalnie – „zero problemów”. Nawiasem mówiąc, słowo „problem” skupiło w sobie resztki znaczeń, jakie kiedyś niosły z sobą takie pojęcia, jak „kłopot”, „niepowodzenie”, „nieszczęście”, „bezradność”, „cierpienie duchowe” – ogólnie: niedawanie sobie rady z sobą. Takie sytuacje wręcz wymagają wysłuchania i wsparcia innych, bardziej doświadczonych osób, tych, które niegdyś też w nich były, mogą więc pomóc albo przynajmniej udzielić rady. Pośpiech, brak czasu, ale także lęk przed czyimiś życiowymi trudnościami (nawet własnego potomstwa) sprawiają, że dziecko pozostaje z nimi sam na sam. Zawiedziona w swych najgłębszych pragnieniach uczuciowych młodzież jest więc zmuszona do gorączkowego i przypadkowego poszukiwania sposobów zaspokojenia ich gdzie indziej. Mogą to być bandy rówieśnicze, pseudoreligijne sekty, grupy przestępcze, zespoły muzyczne... Wszystko, tylko nie rodzinny dom i nie rodzice.

Zagubione dzieci nie są niczym innym, jak powieleniem zagubienia rodziców. Ci ostatni, nie potrafiąc sprostać swojej roli wychowawców i przewodników, przerzucają ją – niekiedy – na... same dzieci.

Jeden z przykładów takiego procesu uchylania się od odpowiedzialności rodzicielskiej zanalizowała już w 1959 roku Hannah Arendt w swych refleksjach. Ich źródłem stała się gazetowa fotografia przedstawiająca młodą Murzynkę w drodze z dopiero co zintegrowanej szkoły; „dziewczyna, ochraniana przez białego przyjaciela swego ojca, była otoczona przez wrogą zgraję białych nastolatków, a jej twarz wymownie świadczyła, że nie jest w tej chwili szczególnie szczęśliwa. Fotografia prosto i jasno odzwierciedlała całą sytuację, ponieważ widoczni na

¹ R. Salvadori, 2003: *Włoskie dzieciństwo*. Przeł. H. Kralowa. „Zeszyty Literackie”, s. 8.

niej uczniowie byli właśnie tymi, których bezpośrednio dotyczyła decyzja sądu federalnego o zniesieniu segregacji rasowej w szkołach”.

Podsumowując swoje rozważania, H. Arendt ostatecznie stwierdziła: „Najbardziej jednak szokującym aspektem całej sprawy była decyzja sądu federalnego, żeby zacząć integrację akurat od szkół publicznych. Wystarczyła przecież odrobina wyobraźni, żeby zobaczyć, że zmusi to dzieci, białe i czarne, do zmierzenia się z problemem, którego dorośli, jak sami przyznawali, nie potrafili rozwiązać od pokoleń. Myślę, że nikomu nie będzie łatwo zapomnieć tej fotografii, reprodukowanej w gazetach i czasopismach na terenie całego kraju, przedstawiającej murzyńską dziewczynkę w towarzystwie białego przyjaciela jej ojca, w chwili gdy wychodzi ze szkoły, a tuż za nią, w bliskości stwarzającej fizyczne zagrożenie, szydercza i strojąca miny banda wyrostków. Oczywiście, dziewczynie zaproponowano rolę bohatera, do której nie palił się ani jej nieobecny ojciec, ani równie nieobecni przedstawiciele National Association for Advancement of Colored People. Białym szydercom – a przynajmniej tym spośród nich, którzy wyrosną kiedyś ze swojej brutalności – trudno będzie przeboleć tę fotografię, która tak bezlitośnie obnaża ich młodzieńczą niegodziwość. Dla mnie zdjęcie to wygląda jak karykatura nowoczesnego wychowania, podkopującego autorytet dorosłych i tym samym odmawiającego im odpowiedzialności za świat, na który wydali swoje dzieci i w który powinni je wprowadzić.

Czy doszliśmy już do punktu, kiedy to dzieci mają za nas zmieniać i ulepszać świat? I czy zamierzamy toczyć swoje polityczne boje na szkolnym podwórku?”².

Od czasu, w którym rozegrały się opisane tu wypadki, nastąpiło zaostrożenie się sytuacji czy nawet nastąpił regres. Choćby najnowsza historia polskiej oświaty pokazuje, że dorośli (w tym władze oświatowe, włącznie z ministerstwem) zamiast podejmować przemyślane i dalekowzroczne decyzje, czynią ze szkoły arenę sporów i wojen politycznych, przerzucając brutalnie na dzieci i młodzież skutki doraźnych ideologicznych sporów. Szczególnie obfitość takich wprowadzających krańcowy zamęt działań dostarczał minister Roman Giertych. Za jego kadencji doszło do swego rodzaju strajków szkolnych, podczas których młodzież protestowała nie tylko przeciw jego szalonym poczynaniom, ale i w ogóle – przeciwko jego osobie na tym stanowisku.

Retoryczne pytanie H. Arendt: Czy to dzieci mają za nas zmieniać i ulepszać świat?, znalazło równie szokującą odpowiedź.

² H. Arendt, 2003: *Refleksje na temat Little Rock*. W: *Odpowiedzialność i władza sądzona*. Przeł. M. Madej i M. Godyń. Warszawa, s. 233–234.

Reasumując: dzisiejsi dorośli (w tym rodzice i wychowawcy) ulegli swoistemu z dziecinnieniu. Cechuje ich strach i lęk przed własnym życiem, toczącym się w trudnych, bo kryzysowych czasach. To zdumiewające, że o wiele lepiej układały się relacje rodzice – dzieci nawet podczas ostatniej wojny niż obecnie, gdy już kilka pokoleń cieszy się pokojem. Najwidoczniej wszechobecny kryzys dotknął czegoś bardziej fundamentalnego. Istotnie, przeżywamy, poza wszelkimi innymi załamaniami, także (a może przede wszystkim) kryzys aksjologiczny. Polega on na podważeniu elementarnych więzi ojcostwa i macierzyństwa, co jest spowodowane, z jednej strony, wydłużeniem przeciętnego czasu trwania ludzkiego życia, z drugiej natomiast – zachwianiem proporcji pomiędzy jego naturalnymi etapami. Przypomnijmy: ekspansja młodości, jako stylu życia, pociąga za sobą degradację dzieciństwa oraz starości. Pozbawiony pełnowartościowego, godnego początku i końca życiorys współczesnego człowieka ulega wypaczeniu, dewiacji. Zostaje on bowiem okrojony z etapu, na którym powinien przygotować się do życia, oraz z etapu, na którym powinien przygotować się do śmierci.

Starość jako wartość życiowego doświadczenia

„Ażeby powiedzieć coś o życiu, trzeba najpierw to życie przeżyć”. To zdanie mojej sąsiadki, Pani Heleny, matki czworga dorosłych dzieci, babki siedmiorga wnuków i prababki trojga prawnucząt, może posłużyć za przewodni motyw rozważań na temat konieczności restytuowania starości.

Coraz częściej słyszy się dziś smutne westchnienie: „Nie udało się Panu Bogu starość”. Świadczy to, że – wbrew marzeniu o zachowaniu nienaruszalnej młodości – ludzie jednak zdają sobie sprawę z jego złudności. Tylko bowiem bohaterowie telewizyjnych serialów nie starzeją się i nie umierają (co najwyżej wymienia się starzejących aktorów na innych, młodszych, jak w wypadku Jamesa Bonda).

Na naszych oczach starzeją się i wymierają idole naszej generacji, ci, których niegdyś wielbiliśmy jako uosobienie marzeń o zwycięskiej i nieprzemijającej młodości. Chcąc nie chcąc, musimy zdać sobie sprawę z przykrego faktu, że tylko „wybrańcy bogów umierają młodo”. Pragnienie jak najdłuższego życia jest, niestety, równoznaczne z koniecznością przyjęcia wraz z nim perspektywy starzenia się, niedołęźnienia oraz – umierania.

Lęk przed starością, zawsze w życiu ludzkim obecny, w cywilizacji konsumpcyjnej nabrał charakteru obsesji. To poniekąd logiczne, gdyż konsumpcja dóbr materialnych, jako obowiązujący styl bycia dzisiejszego człowieka, zmusza go, by cały zanurzył się w doczesności. Pogoń za dobrami użytkowymi, dającymi się użyć i zużyć natychmiast, nie pozwala, by wzrok skierowany był gdzie indziej niż pod nogi (by usuwać przeszkody), na boki (by prześcignąć konkurentów) i do przodu (by nadążyć za tymi, którzy narzucają tempo). Przywiązany jest on zatem do perspektywy horyzontalnej. Oderwanie wzroku od ziemi i skierowanie do góry (w Niebo) albo w dół (Piekło) oznaczałoby wypadnięcie z wyścigu. Popularna nazwa „wyścig szczurów” jest tu rzeczywiście na miejscu nie tylko z tego względu, że bieg po sukces i zdobywanie prestiżu zmusza do „wygryzania” innych, postrzeganych wyłącznie jako zawistni konkurenci, ale też dlatego, iż wyzwala w ludziach instynkty zwierzęce. Zwierzęcość w ludziach (a lepiej powiedzieć: zezwierzęcenie, wtórne cofnięcie się na przeżyty etap ewolucji) jest równoznaczna z redukcją, wyeliminowaniem duchowości. Śmierć musi się więc jawić także „po zwierzęcemu” – jako czysto biologiczny akt, jako absolutny koniec „wielkiego żarcia”. Nic dziwnego, że taką, odartą z transcendentnego wymiaru, śmierć konsumentów, póki jeszcze żyją, spychają w podświadomość. Skoro jednak mimo wszystko się wydarza, otacza się ją swoistą maskaradą, niejako chowa za parawan. Umierających, a także przewlekłe chorych izoluje się od młodych i zdrowych, zamykając ich w szpitalach czy hospicjach, po śmierci zaś zwłoki dekoruje się tak, by „wyglądały jak żywe”. Zanikają też ceremoniału związane z przeżywaniem żałoby po zmarłych. Zwłaszcza w dużych miastach pogrzeby odbywają się „taśmowo”, ich uczestnicy zaś szybko rozjeżdżają się do swoich spraw. Obyczaj spotykania się na stypie, na której dawniej wspominano zmarłego i pocieszano rodzinę, zanika, a sama jego nazwa uległa ośmieszeniu.

Na tym tle „odrzućcia” śmierci, niezgody na nią, w naszej opróżnionej ze wszelkiej metafizyki kulturze wydarzył się jednak ewenement.

Jan Paweł II w obliczu nieodwołalnej już śmierci, dotkliwie cierpiąc, nie tylko nie odizolował się od wiernych, ale, na odwrót, pozwolił uczynić ze swoich cierpień i słabości publiczny – dzięki telewizji – widok. Zmagał się z bólem, bezsilnością i utratą głosu na oczach całego dosłownie świata. Zdumiewające, że społeczeństwo, przywykłe do wstydliwego ukrywania chorób, kalectwa, a już zwłaszcza procesu agonii, tym razem nie tylko nie odwróciło wzroku, ale ze wzruszeniem i przejęciem uczestniczyło w tej papieskiej golgotcie. Długo jeszcze po uroczystościach pogrzebowych rozpatrywano to wydarzenie; dla wielu osób było ono punktem zwrotnym w ich życiu.

Jakkolwiek to niesłychane przeżycie publicznego „odtajnienia” śmiertelności ludzkiej egzystencji było jednorazowym faktem, można mieć nadzieję, że przeorało ono współczesną „utowarowioną” i ślepą na metafizykę mentalność. Okrzyki tysięcy ludzi zgromadzonych na uroczystościach pogrzebowych Jana Pawła II: „święty natychmiast!”, stały się wyrazem przytłumionej wcześniej (ale najwidoczniej nie całkiem utraconej) wiary, że istnieją wartości wyższe i wspanialsze niż te przeliczalne, ale doraźne. Pojęcie świętości odsyła wszak do transcendencji, do wieczności, do innego Życia, następującego po fizycznej śmierci.

W pewnym sensie ów spontaniczny okrzyk milionów był reakcją na fakt, że oto jednemu z nas, jednemu ze śmiertelnych ludzi, udało się przełamać paniczny lęk przed odejściem (jak eufemicznie nazywa się dziś zgon). Istotnie, Papież swoją postawą pokazał, że każde takie „odejście” jest w istocie wyłącznie *przejsciem*. Przejściem „stań do wieczności”. Co więcej, że bytując już na Tamtym świecie, można nie tracić więzi z Tym światem. Wołanie o rychłą beatyfikację Jana Pawła II można też odczytać jako pragnienie doznawania ojcowskiej miłości, jaką potrafił on obdarzać miliony ludzi, tak że każdy czuł się, jakby adresowana ona była akurat do niego.

Starość – odwaga przygotowania do śmierci

Na moje pytanie, czym jest właściwie starość, piętnastoletni Krzysio odpowiedział: „przygotowaniem do śmierci”.

Dzięki tym jego słowom uprzytomniłam sobie, że dotychczasowa *juwenalizacja* kultury (stowarzyszona z jej *karnawalizacją*) odzwierciedlała chęć ucieczki przed śmiercią. Ideał wiecznej młodości, będący próbą powstrzymania procesu starzenia się, wędnięcia i obumierania ciała, w gruncie rzeczy zawiera w sobie infantylną nadzieję, że w ten sposób uda się też umknąć śmierci. Infantylnizm czy wręcz głupota tych, którzy bezkrytycznie temu ideałowi hołdują, wyraża się w tym, że praw przemijania nikt i nigdy przecież nie potrafi powstrzymać czy odwrócić. Zysk trwania w iluzji zahamowania tego procesu u siebie, okazuje się pozorny w zestawieniu z krzywdą, jaką „stary młodzieniec” wyrządza sobie, zaprzepaszczając możliwość przygotowania się do godnego zejścia ze sceny tego świata (a tym samym – wejścia na scenę świata Tamtego).

Naturalny okres starości – jesień życia – dany jest nam po to, aby zebrawszy plony z ziarna zasianego wiosną, zżętego latem, przetworzyć je i przygotować do spożycia zimą. Aby doświadczenia dzieciństwa, młodo-

ści i wieku dorosłego, nieciągle i niespójne, chaotyczne, póki żyliśmy pod presją teraźniejszości, przejrzyć we wspomnieniach, uporządkować, usiłując odnaleźć w nich jakąś „złotą nitkę”, która by nadawała im wspólny sens, a nam samym – tożsamość.

Przysłowie, że „starość nie udała się Panu Bogu” można by wówczas przekształcić na takie, że „starość nie udaje się niektórym ludziom”. Ale to nie znaczy – wszystkim. Udała się bowiem przynajmniej jednemu, którego pragniemy co prędzej obwołać świętym.

Jest jeszcze jedna ludowa mądrość na temat starości – w zestawieniu z młodością tym razem: „Starość nie radość, młodość nie wieczność”. Dzieciom i młodzieży, nieskrzywionym aberracją konsumpcyjnej juwenalizacji, takie poczucie przemijalności młodości jest w sposób naturalny wrodzone. W końcu szybkie wyrastanie z ubrań i butów to najbardziej powszednie doznanie zmian cielesnych, a perspektywa matury – to docelowy punkt dojrzewania intelektualnego. W tym trudnym okresie ewolucji „ku górze”, znaczonej kryzysami rozwojowymi, nie wolno młodym ludziom odbierać szansy obcowania ze starszymi, którzy – godząc się z metrykalnym wiekiem – spokojnie schodzą z góry. W alpinizmie sztuka schodzenie ze szczytu jest nie mniej ważna (i nie mniej trudna) niż sztuka wspinania się nań. Dlaczegoż by tej oczywistej reguły nie odnieść i do ludzkiej egzystencji, przechodzącej naturalne fazy „wchodzenia w życie” i „wychodzenia z życia”

Dla przywrócenia przyszłej, po-postmodernistycznej kulturze harmonii, a jej uczestnikom – radości z pełni życia konieczne jest odrzucenie karykaturalnego „przegięcia ku młodzieżowości”.

Oczywiście, nie oznacza to „mściwej” deprecjacji prawdziwej młodości, której nie ima się czas. Takową jest tylko młodość ducha. Ow duch zaś dopiero na starość powinien się szczególnie mocno „gimnastykować”. Powiadają, że „druga połowa życia dana jest nam po to, żeby zrozumieć pierwszą”. Taki wysiłek przeniknięcia wszelkich możliwych znaczeń i sensów naszego dzieciństwa, młodości i dorosłości to droga do rzeczywistej dojrzałości, czyli – do życiowej mądrości, którą można osiąść wyłącznie z przemyśliwania tego, co się przeżyło. Przeżyło i przecierpiało samemu. Ponadto starość może też stać się synonimem głębokiej dojrzałości uczuciowej. Dystans do ludzi i zdarzeń – błogosławieństwo późnego wieku, który wyłącza nas z doraźnego zaangażowania w sprawy związane z pracą, karierą, ambicjami – łagodzi dawne surowe, ostre, jednoznaczne oceny tego, co bezpowrotnie minęło.

Odebranie sobie prawa do starości – to wyzbycie się szansy na zrozumienie samego siebie. Szacunek, jakiego niegdyś oczekiwali dla siebie ludzie starzy, miał rzeczywiste podstawy w tym, że potrafiwszy pogodzić się z sobą, umieli też w łagodniejszy, bardziej wyrozumiały sposób pa-

trzeć na innych. To właśnie owa łagodność i czułość, niespieszność w osądzaniu i potępianiu, poczucie humoru, związane z doświadczeniem przemijalności wszystkich naszych ziemskich spraw, były (i mogą wciąż być) wspaniałym walorem starości.

Słabości tego wieku odbierają ludziom starym butę i agresywność. Choćby dzięki temu mogą być ostoją w naszym, ciągle spienionym od agresji czasie. Niekoniecznie więc trzeba być świętym, wystarczy być bezsilnym, ale łagodnie uśmiechniętym...

Potoczny wizerunek starości, zwłaszcza późnej, to obraz osoby bezsilnej i bezbronnej. Bezsilnej i bezbronnej fizycznie, cielesnie. W pewnym też sensie – skurczonej, zmalałej, zajmującej mniej miejsca, zarówno w przestrzeni fizycznej, jak i kulturowej. Narzuca się tu analogia do dziecięcości. I, prawdopodobnie, tak to właśnie mądrze zostało zaplanowane przez ewolucję (Boga?).

W *Ewangeli*i Chrystus, który pojawił się na Ziemi w postaci niemowlęcia, nawołuje, „obyście się stali jako dzieci”. Pod tym tylko warunkiem możemy „wejść do Królestwa Niebieskiego”. Nie może to być przypadek – ów apel o dziecięctwo osób stojących u bram śmierci. Najwidoczniej pełnymi, kompletnymi, niczym nieskażonymi byliśmy już, przychodząc na świat. Dramat borykania się z doczesnym światem zostawia na nas rany, rysy, brudne plamy. Późna starość, pełna cielesnych zmarszczek, będących zapisem gorzkich (ale i dobrych) doświadczeń, zarazem daje szansę wygładzenia kantów, „zaprasowanych” na psychice. Odpuszczając innym winy, a sobie – „grzechy młodości i dorosłości”, możemy na powrót wygładzić własne dusze. Rozpuścić w sobie skamieliny urazów. Oczyścić z nienawiści, złości, agresji. Dać sobie przystęp do łagodności i czułości. Tak, jak to się udało Herbertowi, którego jeden z ostatnich wierszy nosi właśnie tytuł *Czułość*:

Cóż ja z tobą czułości w końcu począć mam
czułości do kamienia do ptaków do ludzi
powinnaś spać we wnętrzu dłoni na dnie oka tam
twoje miejsce niech cię nikt nie budzi

Psujesz wszystko zamieniasz na opak
streszczasz tragedię w romans kuchenny
idei lot wysokopienny
zmieniasz w stękanie eksklamacje szloch

Opisać to jest zabić bo przecież twoja rola
siedzieć w ciemności pustej chłodnej sali
samotnie siedzieć gdy rozum spokojnie gwarzy
w oku marmurów mgła i krople toczą się po twarzy

Tym, co sprawia, że dziecko tak chętnie wkłada swoją rękę w dłoń babci czy dziadka, jest właśnie to wzajemne przyciąganie się czułości. Czułości, która była na początku i może być na końcu.

Przypomnijmy fragment cytowanego tekstu Roberto Salvadoriego: „Nieodwracalny i ponadczasowy los dzieciństwa jest dzieciństwem losu”. I drugi: „Dzieci patrzą na nas. [...] A przecież jest to niepocieszone spojrzenie kogoś, kto wszystko rozumie – kto wszystko zrozumiał (poza samym sobą)”.

Spotkanie prawdziwego dziecka z prawdziwym starcem to spotkanie dwóch istot, które w s z y s t k o r o z u m i e j ą. Starzec jest tym, który zrozumiał także samego siebie. W nim tedy wypełniła się zapowiedź dzieciństwa.